Rok 1901. Lwów, 14. Lipca Nr. 27.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ ½
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów, Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

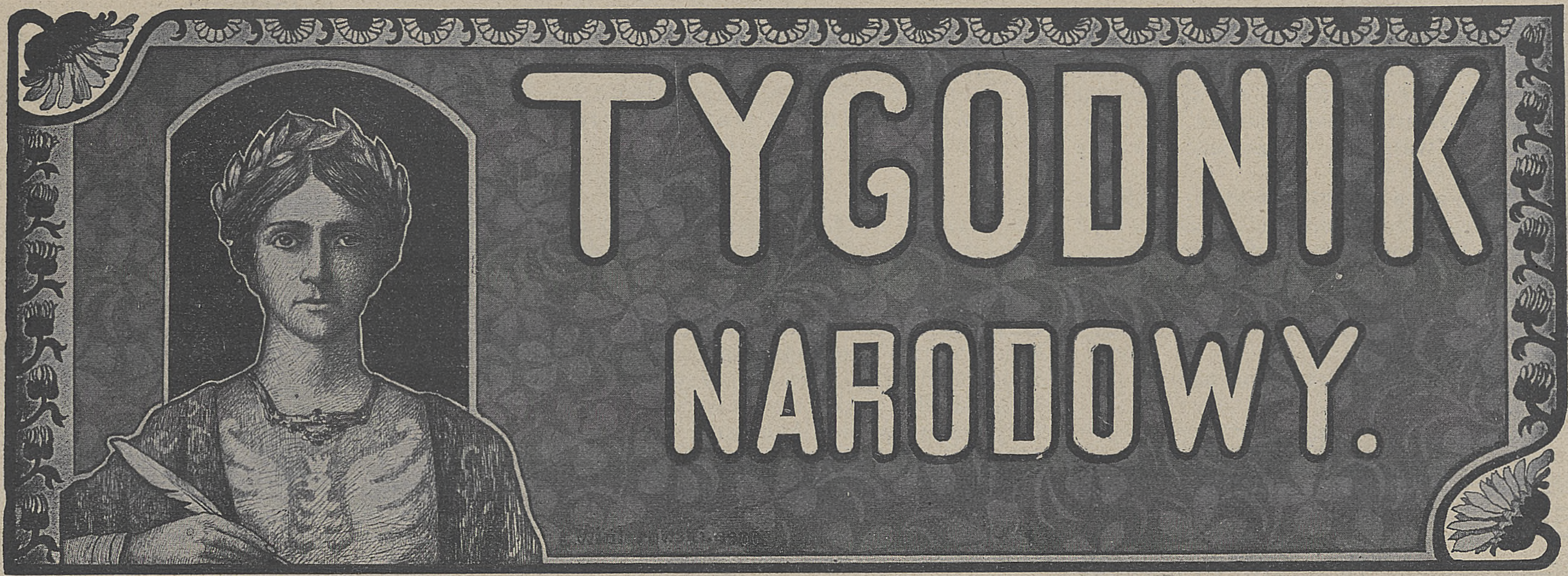
Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 14. lipca Nr 27.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11. Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 27:

Sprawiedliwość i miłosierdzie.

Taki nagłówek nosi rozprawa pana K. Gide'a. Jest to zbiór określeń miłosierdzia i sprawiedliwości wobec opinii i ekonomii politycznej. Autor stara się dowieść, że w rozwoju idei sprawiedliwości coraz większe miejsce zajmuje miłosierdzie, i przypuszcza, że w końcu zawładnie ono całą dziedziną czynów ludzkich i stanie się — prawem.

Kwestyonując możliwość podobnej przemiany i jej pożytek dla ludzkości — streścimy wytyczne punkty zajmującej nas kwestyi.

Na czele rozprawy, melancholijny Loti, komentując słowa S-go Pawła, zapewnia nas, że „wiara i nadzieja już w społeczeństwach umarły"; p. Gide idzie dalej i pyta z niepokojem: „czy i miłosierdzie nie jest bliskie śmierci?"

Zatrzymujemy się — przerażeni. Jak to? miłosierdzie, bez którego miękkiej dłoni galernicza dola ludzkości byłaby nie do zniesienia, miłosierdzie umiera, więc i serce społeczne kona? Na zasadzie jakich danych autor dochodzi tak pesymistycznych wniosków? Czy może widział nędzarzy, umierających z głodu? chorych ginących bez pomocy? bezdomnych bez przytułku? albo człowiek, twardy pan stworzenia, krzywdzi bezkarnie zarówno podległych mu bliźnich, jak i zwierzęta?

Przytoczywszy zdanie filantropów, a więc kompetentnych, że forma miłosierdzia osobistego nie zmniejsza nędzy, a powiększa zastępy żebraków zawodowych, pasorzytów, wyzyskiwaczów, i że jedynym srodkiem zaradczym jest zniesienie jałmużny, a zastąpienie jej instytucyami, niosącemi nietylko pomoc materyalną, przytułek, lecz i możność pracy, p. Gide woła z goryczą: „Dziwna ewolucya, która prowadzi nas od miłosierdzia do skazywania na ciężkie roboty" — opis zaś wspierania ubogich przez Towarzystwa kończy niemniej dziwną uwagą: „Dzisiejsze miłosierdzie dalekie jest od dawnego, które nie żałowało ani czasu, ani trudu, które nie bało się ocierać o nędzarzy, które nie zrażało się oszukaństwem, a nawet chętnie na nie pozwalało... dla miłości Boga".

Pozwolimy sobie na niejakie zastrzeżenia przeciwko tego rodzaju etyce. Czy społeczeństwo, dając zdolnym do pracy, zamiast jałmużny — możność jałmużny — możność pracy — skazuje na ciężkie roboty? czy wolno podobnem zestawieniem uchybiać pracy, temu wielkiemu przywilejowi ludzkości? Czy pracę uważa autor za karę i hańbę, skoro nad nią przekłada jałmużnę, rzucaną zwykle obojętną ręką, na odczepne, aby zbyć nudny obowiązek? jałmużnę, która dana bez miłości, przyjęta bez wzruszenia, poniża obdarowanego, a dającemu nie jest zasługą? I czy, pomiędzy darami społeczeństwa dla swoich członków, obok wiedzy, jest dar szlachetniejszy nad podanie sposobności pracy?

Istotnie różnica pomiędzy dawną formą miłosierdzia a obecną jest niemniejsza, niż między niektóremi pojęciami w zakresie etyki i moralności.

Dziś — pilnuje się każdy, nawet świadczący miłosierdzie, aby nie paść ofiarą oszukaństwa, choćby „dla miłości Boga".

I ma zupełną słuszność.

Zezwalać bowiem na oszukaństwo, spełniając czyn dobry, to grzech przeciwko temu Bogu, któremu ofiarujemy dobro spełnione; względem ludzi, których zawsze złe skarcone demoralizuje; przeciwko cnocie miłosierdzia, bo ona nie powinna służyć za płaszczyk, pokrywający szalbierstwo, przeciwko własnemu sumieniu, gdyż zezwalający na złe jest współwinnym. Filantropia, fabrykująca dla miłości Bożej oszukańców — nie jest cnotą, lecz jednym z grzechów cudzych: na grzech cudzy zezwala.

Do jakich to aberacyi dochodzi się, broniąc fałszywej zasady!

Następnie autor okazuje nam miłosierdzie pod nową postacią Stowarzyszeń wzajemnej pomocy, gdzie solidarność ma zastąpić miłosierdzie, nie wykazuje jednak istoty wspólnosci, zachodzącej między miłosierdziem a stowarzyszeniem.

Czy zrzeczenie się pod hasłem wzajemnej pomocy może być formą miłosierdzia? Zobaczmy.

Ustawy wszelkich Towarzystw obowiązują tylko członków względem wszystkich, potrzebujących pomocy. Towarzystwo, którego ustawa obowiązuje uczestników do wkładów na korzyść niestowarzyszonych — wkracza w dział filantropii.

Stowarzyszenie kredytowe, gdzie na poręczenie bogatszych ubogi dostaje kredyt na zakup materyałów lub narzędzi, nie jest wcale miłosierdziem, lecz interesem, opartym na tem ekonomicznem prawie, że społeczeństwo winno pomoc uboższym pracownikom, aby utrzymać w dzielności wytwórców społecznego dobrobytu, a zarazem wyrównać częściowo nierównomierny podział pracy i zapłaty. Uboższy, zyskujący poręczenie bogatszego, przedewszystkiem musi być sam członkiem Towarzystwa, t. j. posiadać wkład pieniężny; powtóre, musi mieć kapitał uzdolnienia fachowego, pracowitości, uczciwości, gdyż dotychczas niema, a zapewne i nie będzie stowarzyszeń, których członkowie poręczaliby za próżniaków, nicponiów lub pijaków.

Jeżeli kupuję funt cukru w sklepie spożywczym, którego jestem członkiem na mocy jednej posiadanej akcyi, płacę tę samą cenę, jaką płaci stowarzyszony o stu akcyach, nie uważam jednak, żeby ten fakt był względem mnie miłosierdziem, żeby silniejszy wspomagał mnie słabszego. Dywidenda redukuje to rzekome miłosierdzie do właściwej, kupieckiej normy: właściciel stu akcyi otrzyma sto razy więcej, niż ja. I nic mi z tej należności nie ofiaruje.

Podziwiać należy zdolność umysłowego przystosowania się autora do obra-

nej tezy. I jego idealizm. Opierając praktykę miłosierdzia na gruncie tak realnym, jak stowarzyszenia kredytowe, spożywcze, wzajemnej pomocy, któżby się spodziewał pełnego liryzmu wywodu autora, że i nędzarz, jako wkład — może dać... trochę miłości!

Owe złote źdźbła miłości, na które zdobyć się może nawet nędza, mogą być wkładką tylko w jednem wielkiem stowarzyszeniu: pod znakiem Krzyża i pod ustawą nauki chrześcijańskiej; handel, przemysł — takiego wpisowego nie przyjmują.

(Dokończenie nastąpi).

TE... MIAN...

Scena z nieznanego dramatu greckiego

A więc niech opadnie zasłona,
niech się spełni wola n a r o d u!

KLISTENES, tyran.
CHÓR I.
CHÓR II.
TRABANCI.
LUD.

KLISTENES.

Obywatele, witam was zebranych w krąg,
Uroczystości wielkiej nadszedł wreszcie
[czas,
By niepamięci wydarł męża cały kraj,
Który tak wiele — ale zresztą szkoda słów!
Nie pojmie zasług jego gminny tłum —
Rozpoczynajcie święto...

CHÓR I.

a.

Cześć Ci Lizyaszu, cześć!
Mężu bez skazy i winy —
Myśmy podziękę Ci dłużni;
Niechże nad wszystkie swe syny
Ojczyzna Ciebie wyróżni.
Dla Ciebie przychodzim wznieść
Pochwalny, dziękczynny śpiew;
Winniśmy Ci naszą krew —
Cześć Ci Lizyaszu, cześć.

b.

Trwałości kamiennych żył
Wizerunek Twój zwierzony
Niech w pośrodku stanie rynku!
Oto trud Twój nagrodzony —
Choć śmierć ubiegłszy nagrodę,
Nie dała Ci święta dożynku —
Czyny Twoje wiecznie młode
Śmiały każdy wielki czyn,
Tyś najpierwszy ziemi syn!

CHÓR II.

a.

Na Boga! — dokąd unosi was szał?
Czego pokłonny wasz żąda śpiew?
Kędy was gna zaślepienie?
Jeszcze w powietrzu gra walki zew,
A od pól poległych bohaterów krew
Woła: „chcę w sercu współbraci
„Wskrzesnąć — utrwalcie mnie w spiżu na
„Potomne pokolenie [wzór,
„Patrząc w moje oblicze — skrzepnieje,
„A gdy dojrzeją w sercach nadzieje,
„To męstwo serc będzie niezłomne jak
[mur!
A wy — gdy was robak prywaty toczy,
Wpadłszy w cudzych opętań szał,
Nie wiecie, w k o g o muszą p a t r z y ć
[o c z y,
K t o m a b y ć duszą waszych c i a ł?!

b.

Na Boga! — obcy was gną do swych stóp
Najskrytszych każą wam wyrzec się drzeń
Ufni w przemożną władzę,
Leonidas mężny nie wyjrzał za grób
Demostenesa skrył gleby cień,
A kogoż nad nimi posadzę?
Któż od nich godniej zakuty w głaz
W pośrodku rynku stanie wśród was?
Lizyjaszowi wznieśliście tron?
Między lud zejdźcie — on wszystkie wy-
[bawce
Pamięta — spytajcie go: czem zacz był on?
A baczcie, bo obce są wam jak oprawce:
Wybawicieli grążą wam w cień,
A zauszników wwodzą na dzień.
Będzieciež tańczyć, gdy oni grają,
Jak ci, co własną godność sprzedają?
Jak niewolnicy, którym dość,
By pan ze stołu rzucił im kość!

c.

O biada, biada,
Nie mówię już wolność ciała,
Lecz wolność ducha wśród nas przepada
A duma przodków gdzież się podziała?
Nie mamy w naszych piersiach ich godno-
[ści zgoła
Gdy z nas każdy przed obcym paść zdoła
I wołać poddańczo:
Wybawicielu! panie!
. . . .
. . . .
O biada, co z nami się stanie...
O biada, biada!

KLISTENES.

Mężowie! niech nie mami was tych starców
[głos
Ślepotą dusz obciążył ich potężny Zeus.

(obrócony do 2-go chóru)

A wy zamilknijcie, lub was mój porazi gniew!

(2-gi chór odchodzi).

Obywatele (zresztą po cóż długich słów?)
Komu uwierzyć lepiej? Temu, który dba
O dobro miasta, dzierżąc jego nawy ster
Czy zdziecinniałym starcom, których dławi
[szał?
A właśnie ci, co dzierżą ster, tak mówią wam:
„Wśród sławnych Lizyasz najsławniejszym
[musi być!“
Zechcecie-ż ustom waszych rządców zadać
[kłam
Czyż wam nie miłe dotąd światło dnia?
A zresztą — któż do władzy możnym do-
[dał sił?
Któż was — pospólstwo — w ręce ich
[bezpiecznie zdał?

(obracając się do 1-go chóru)

Więc nuże wieczne miasta dzieci — pieśni
[swe
Pocznijcie — m o ż n i t e g o c h c ą, w i ę c
[n a r ó d c h c e!

CHÓR I.

Cześć ci Lizyaszu, cześć!
Myśmy podziękę ci dłużni
O ty bez skazy i winy!
Niech dziś nad wszystkie swe syny
Kraj Cię wyróżni!

KLISTENES.

A teraz niech zasłony szarej pryśnie tkań,
Co największego męża Grecyi kryje biust!
Pragnienia milionów niech przybiorą kształt
A wy uderzcie wszyscy razem czołem
[w proch
Tak kraj wybawców swoich umie czcić!

(do trabantów)

Rozpędźcie motłoch!

(Pachołkowie rozpędzają lud, który pokornie przyjmując razy odchodzi w milczeniu).

CHÓR II. *(z głębi — niewidziany).*

O biada, co z nami się stanie
O biada! —

Prof. Stanisław Królikowski.

O udzielaniu się ludziom chorób zwierząt domowych.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli nauka ma jeszcze dużo do wypowiedzenia o istocie wścieklizny, to lud za to tyle już o niej rozprawiał, że z podań i bajek, któremi ją otoczył, można by stworzyć całą literaturę wścieklizny. Pod tym względem jedynie morowa zaraza, czyli tak zwany czarny mor, może iść w porównanie z wścieklizną. Niestety, baśnie te i legendy zapewne długo jeszcze czekać będą na zamiłowanego, umiejętnego zbieracza, któryby je ujął w całość, rozwikłał i ukazał, co w nich jest rzeczywiście fantazyą a co prawdą, przybraną w ramy cudowności. Na Mazowszu lud powiada, że jeżeli z bydlęcia wściekłego odrzucić łeb, to resztę ciała można zjeść bez niebezpieczeństwa. — Nie zachęcam do zrobienia takiego doswiadczenia, ale trudno nie zauważyć, że poczciwy mazur z pod Warszawy, bliskim jest prawdy, dzisiejsza bowiem nauka twierdzi, iż czynnik, wywołujący wściekliznę, rzeczywiście nagromadza się w mózgu obficiej, niż w innych narządach.

* * *

N o s a c i z n a k o ń s k a jest również od dawna znaną, może nawet dawniej niż wścieklizna, bo już Hippokrates o niej mówi.

Znacznie jednak później, gdyż dopiero w 4-tym wieku po Chrystusie Vegetius Publius Renatus, uważa ją za chorobę zaraźliwą dla zdrowych koni — a w 18-tym wieku Osiander za udzielającą się ludziom.

Nie należy się dziwić, że tak późno przekonano się o zaraźliwości nosacizny dla człowieka, gdyż objawy chorobowe u niego przy zarazie tej znacznie się różnią od objawów u konia. Świat naukowy dzisiaj zna już dokładnie nosaciznę zarówno u zwierząt, jak i u człowieka, poznał nawet grzybek, który ją wywołuje, opłacając zbadanie jego kilkoma ofiarami, lecz ogół ma jeszcze pod tym względem i teraz bardzo niedostateczne i opaczne pojęcie.

Pomijam, że prawie żaden hodowca koni nie odróżni tak nazwanych zołzów od nosacizny — lecz nawet i pojęcia o istocie zaraźliwości tej ostatniej są bardzo niedostateczne. Zdarza mi się prawie codziennie słyszeć, iż nosacizna psia i no-

sacizna końska to jedna i ta sama choroba — gdy tymczasem oprócz nazwy, nic one ze sobą więcéj nie mają wspólnego.

Jeżeli liczba wypadków śmiertelnych u ludzi z nosacizny końskiej w spisach pośmiertnych jest bardzo małą, przypisać to należy tej okoliczności, iż choroba ta u człowieka często jest bardzo trudną do rozpoznania, i zaliczaną bywa do innych chorób z zoonozami nic nie mających wspólnego.

Już to samo, że lekarze stają się często ofiarami nosacizny, jest dowodem trudnego jej rozpoznania. W swoim czasie gazety szeroko rozpisywały się o śmierci z przyczyny nosacizny jednego ze znakomitych polskich operatorów (Dr. Jawdyński), a kilka lat przedtem, o zgonie jednego z lekarzy szpitalnych (Dr. Starynkiewicz). W obydwu wypadkach zarażenie nastąpiło nie bezpośrednio od koni, lecz od ludzi.

Że najczęściej podlegają zarażeniu woźnice i chłopcy stajenni, jest to łatwe do pojęcia; niekiedy jednak stają się ofiarami nosacizny ludzie, nic nie mający do czynienia z końmi. Gra tu rolę traf: zdarza się bowiem, iż osobom przechodzącym ulicą, koń nosaty parsknie w twarz i cząstka śluzu wpadnie do ust lub oczu. Wypadki takie, na nieszczęście rzadkimi nie są, a zwykle kończą się śmiercią.

* * *

W ostatnich dziesiątkach lat, z pomiędzy zoonozów, najgłośniejszą stała się gruźlica, znana dawniej u bydła rogatego pod nazwą perlicy, francuskiej choroby, suchot płucnych i in. Nadzwyczajne rozpowszechnienie tej choroby nie datuje się od wczoraj, przeciwnie gruźlica dobrze znaną była w starożytności, i wtedy już nawet przypuszczano, że mięso ze zwierząt, podległych tej chorobie, jest dla zdrowia ludzkiego szkodliwe. To też Mojżesz zabraniał spożywania mięsa bydląt dotkniętych suchotami; u Franków już w 9 tym stuleciu przepisy kościelne również nie dozwalały używania mięsa zwierząt gruźliczych. Podobne przepisy w różnym czasie wydawane były w niektórych miastach Niemiec i dotrwały prawie do naszych czasów. Szkoda tylko, że rozumne te rozporządzenia w Prusach i w Austryi, niewolniczo je zawsze naśladującej, nawet w złem, były zniesione w końcu 18-wieku.

Pomimo tego wszystkiego, zaledwie w drugiej połowie 19-go stulecia Villemin stwierdził doświadczalnie, iż gruźlica ludzi może się udzielać zwierzętom, a w kilka dziesiątków lat potem, dzięki odkryciu przez Koch'a grzybka wywołującego gruźlicę u człowieka, łatwo już było sprawdzić, że tak nazwana perlica bydła rogatego i gruźlica u ludzi są jedną i tą samą chorobą. Lecz nie tylko bydło na nią zapada, — dzisiaj wiemy już z pewnością, że podlegają jej wszystkie zwierzęta domowe, nie wyłączając ptactwa i ryb, również widziano ją u licznych gatunków zwierząt dzikich, nawet u żab.

Wprawdzie doświadczalnie nikt jeszcze nie przekonał się, aby gruźlica zwierząt przechodziła na ludzi, wiedząc jednak stanowczo, iż gruźlica udziela się od człowieka człowiekowi, stwierdziwszy na drodze licznych doświadczeń, wrażliwość zwierząt dla gruźlicy ludzkiej, możność przenoszenia się jej z jednego gatunku zwierząt na drugi, mamy wszelkie za sobą prawo wnioskować, iż gruźlica zwierząt może wywołać gruźlicę u człowieka i to w różny sposób, raz, gdy śluz wyrzucany z płuc zwierząt jej podległych, dostaje się do naszego narządu oddechowego, w innych zaś wypadkach przez wnikanie prątków gruźliczych do ustroju z mięsem, mlekiem, masłem i t. d.

Bardzo być może, iż zarazek bydlęcy działa na człowieka słabiej niż na zwierzęta; nie podobna jednak zaprzeczyć, aby nie mogło być i przeciwnie, gdyż skądinąd wiemy, iż grzybki chorobotwórcze, przechodząc przez ustrój różnych gatunków zwierząt, mogą wprawdzie tracić nieco z siły zarażenia, lecz mogą też i wzmacniać ją, robić się groźnymi nawet dla takich gatunków, które z natury swej mało są nań wrażliwe, jak to ma na przykład miejsce z grzybkami wąglikowymi. Te ostatnie, gdy kilkakrotnie przejdą przez ustrój psa, zwierzęcia dość odpornego na wąglik, stają się bardzo zjadliwymi nie tylko dla wszelkich ras psiego gatunku, lecz nawet dla innych zwierząt, jeszcze bardziej niż pies na gruźlicę wytrzymałych.

Gruźlica należy do chorób badanych dzisiaj wszechstronnie, z wielkim zapałem i nie małem poświęceniem, ale bo też walka z nią stanowi nieodzowną konieczność. Dotąd jednak będzie ona bezowocną, dopokąd nie zdołamy wytępić jej u zwierząt, a to jest na szczęście do uskutecznienia możliwe.

(Dokończenie nastąpi).

Maksym Gorkij.

Makar Czudra.

BAJKA.

Od morza szedł wilgotny, zimny wiatr, śląc stepom pełną zadumy melodyę plusku fal, bijących o brzeg i szmeru krzaków nadbrzeżnych. Czasem podmuchy wiatru przynosiły z sobą zziębnięte, zmarszczone, żółte liście, rzucały je do ogniska i rozniecały płomień; wtedy otaczający nas mrok nocy jesiennej poczynał drżeć i, bojaźliwie się usuwając, odsłaniał na chwilę z prawej strony stepy bezkreśne, z lewej — morze bezbrzeżne, a wprost naprzeciw mnie potężną postać Makara Czudry, starego cygana, doglądającego koni swego taboru, który rozłożył się był o jakie pięćdziesiąt kroków od nas.

Nie zwracając najmniejszej uwagi, że zimne fale wiatru rozpięły mu czekmen i obnażyły uwłosione, bronzowe piersi, smagając je niemiłosiernie, Czudra na pół leżąc w pięknej, swobodnej a silnej pozie, metodycznie pykał olbrzymią swą fajkę, puszczał z ust i z nosa gęste kłęby dymu i nieruchomo utkwiwszy oczy kędyś po nad moją głową w zamarłą a milczącą pomrokę stepów, gawędził ze mną bezustanku najmniejszym ruchem nie probując się obronić od szorstkich powiewów wiatru.

— Więc wałęsasz się? Dobra! Wspaniały obrałeś sobie los, sokole. Tak właśnie trzeba: chodź a patrzaj, napatrzyłeś się, to kładź się i umieraj — ot i koniec!

— Życie? inni ludzie? — prawił dalej, sceptycznie wysłuchawszy moich zarzutów na jego „tak właśnie trzeba,“ — E-he! A tobie co do tego? Czyliż sam nie jesteś życiem? Inni żyją bez ciebie i bez ciebie żyć będą. A może myślisz, żeś komu potrzebny? Tyś nie chleb i nie kij, to też nikt nie potrzebuje ciebie.

— Uczyć się i uczyć, powiadasz? A czy potrafisz nauczyć, jak ludzi uszczęśliwiać? Nie, tego nie potrafisz. Osiwiej pierw, a potem gadaj, jak należy uczyć. Czegóż uczyć? Każdy wie, czego mu trzeba. Który mądrzejszy, bierze co się da, który głupszy — nic nie dostaje. Każdy sam się uczy.

Śmieszni są owi ludzie twoi. Zebrali się do kupy i pcha jeden drugiego, choć na ziemi miejsca hen tyle — tu szerokim giestem objął stepy. — I wciąż pracują. Na co? dla kogo? Nikt nie wie. Patrzysz, jak człek orze i myślisz sobie: oto kropla po kropli wysączy w pocie czoła siły swe na tę ziemię, a potem legnie i zgnije w niej. Nic po nim nie zostanie; nic on po za rolą swoją nie widzi i umiera tak samo głupi, jak się rodził.

— Czyliż na to, powiedz, przyszedł na świat, by się w ziemi kopać i umrzeć, nie zdążywszy sobie nawet mogiły wykopać? A czyż wie on, co wolność? Czy zna stepów swobodę? Czy raduje mu się serce na gwarzenie fal morskich? E-he! To niewolnik od urodzenia, przez całe życie — niewolnik i basta! Cóż on począć może? Powiesić się chyba, skoro zmądrzeje trochę.

— A ja oto, patrzaj, mam 58 lat, a już tylem widział, że gdyby to wszystko spisać na papierze, to być tego w tysiącu



Uniwersytet ludowy na wsi.

takich torb jak twoja nie pomieścił. Spróbój no powiedzieć, w jakich to krajach ja nie byłem. Nie powiesz. Ty nawet nie znasz wcale takich krajów, w których ja bywałem. Tak żyć trzeba: chodzić, chodzić i basta. Nie stawaj długo na jednem miejscu, na cóż ci ono? Jako dzień i noc wciąż biegną, ścigając się wzajemnie, dokoła ziemi, tak i ty umykaj od dumań o życiu, byś go lubić nie przestał. Zadumasz się jeno — już ci życie nie miłe, tak zawsze bywa. I ze mną tak było. Ehe! było, sokole!

— W turmie siedziałem w Galicyi. I na cóż ja żyję na świecie? — pomyślałem raz jakoś z nudy, — nudno w turmie, sokole, oj jak nudno! — aż chwycił mnie żal za serce, a kiedym wyjrzał z okna na pole, to tak je ścisnął jak kleszcze. Któż powie na co się żyje? Nikt nie powie, sokole! Nawet pytać o to nie trzeba? Żyj i basta. Wałęsaj się i rozglądaj się dokoła — to nigdy żal cię nie dojmie. Wtedy tom się omal paskiem nie zadusił, tak to!

— He! gadałem raz z pewnym człowiekiem. Surowy był to człowiek, z waszych, ruski. Należy, powiada, nie tak żyć, jak się chce, ale tak jak w piśmie pisano. Przed Bogiem się ukorz, a da ci wszystko, o co go błagać będziesz. A sam chodził w łachmanach, obdarty. Więc powiedziałem mu, by poprosił Boga o nową odzież. Rozgniewał się i łżąc, odpędził mnie. A przedtem mówił, że należy przebaczać ludziom i kochać ich. Niechby i mnie wybaczył, skoro mowa moja obraziła go. Także mi nauczyciel! Nauczają, że mniej trzeba jeść, sami zaś jedzą po dziesięć razy na dobę.

Tu splunął do ogniska i zamilkł, na bijając sobie fajkę. Wiatr łkał czegoś żałośnie a cicho, w ciemności parskały konie, z taboru płynęła tkliwa namiętna pieśń — dumka. To śpiewała Nonka, córka Makara. Znałem niskie piersiowe brzmienie jej głosu, w którym zawsze dźwięczały jakieś dziwne nuty niezadowolenia i domagania się czegoś — jednako czy piosnkę śpiewała, czy mówiła „dzień dobry“. Do jej smagłej, matowej twarzy przymarła wyniosłość królowej, a w ciemno-piwnych oczach, jakąś chmurką otulonych, lśniła świadomość uroku i powabu własnej piękności i pogardy względem wszystkiego, co było po za nią.

Makar podał mi fajkę.

— Pal!... Ślicznie śpiewa dziewczyna, co? Chciałbyś, żeby cię taka pokochała? Nie? To dobrze! Tak trzeba — nie wierz dziewczynom i trzymaj się od nich zdala. Dziewce milsze całowanie, niż mnie fajka ale gdy pocałujesz ją, to przepadnie wolność w twem sercu. Opęta cię ona czemś takiem, czego nie widać, a zerwać niepodobna, aż oddasz jej całą duszę i nic ci nie pozostanie. Prawdę mówię! Strzeż się dziewcząt! Zawsze łżą, gadziny. Kocham, mówi taka, nad wszystko świecie, ale spróbuj ją ukłuć szpilką, jak ci serce podrze. Wiem ja, ehe! dużo wiem! Chcesz, sokole, to ci opowiem zdarzenie. A ty je zapamiętaj; jak zapamiętasz, to przez całe życie będzie z ciebie wolny ptak...

„Żył na świecie Zobar, cygan młody, Łojko Zobar. Całe Węgry, i Czechy, i Slawonia cała, i wszystkie kraje, co wokół morza, znały go — junak był to dzielny! Nie było w tych krajach wioski takiej, żeby w niej kilku lub kilkudziesięciu mieszkańców nie składało przed ołtarzem przysięgi, że zgładzą Łojkę, a ten żył sobie dalej: i kiedy koń mu się jakiś spodobał, to choćbyś pułk żołnierzy postawił, by strzegli tego konia — zawsze Zobar harcować na nim będzie. Ehe! Czy taki boi się kogo? Niechby sam szatan z całą swoją świtą przyszedł do niego, to, gdyby komuś noża nie wsadził, to już napewno tak by ich wyłajał i niejednemu djabłu takich by nadawał szturchańców po pysku, że aż miło!

„A znały go wszystkie tabory lub słyszały o nim. Lubił on tylko konie i nic więcej, choć i te niedługo — pojeździ i sprzeda, a pieniądze mógł brać kto tylko chciał. Nie miał on nic, z czem by się drożył — potrzeba ci serca jego, to sam ci je wyrwie z piersi i odda, aby tobie jeno dobrze z tem było. Taki on był, sokole!

„Nasz tabor koczował wtedy w Bukowinie — będzie to temu lat 10. Pewnego razu — pamiętam było to w noc wiosenną — siedzimy ot sobie: ja, żołnierz Daniło, co pod Koszutem wojował, i stary Nur i inni wszyscy, i Radda, córka Daniły.

Nonkę moją znasz przecie. Królowa! A jednak z Raddą jej się równać nie wolno — zbytni zaszczyt dla Nonki. O tamtej, o tej Raddzie nic słowami powiedzieć się nie da. Jej piękność chyba na skrzypcach wygrać można, ale i to tylko ten potrafi, kto te skrzypce jak własną duszę zna.

„Dużo serc junaczych uschło przez nią, oj dużo! Na Morawach magnat pewien stary, czubaty, ujrzał ją i zdębiał. Siedzi na koniu i patrzy a drży, jak w ogniu cały. Piękny był, jak dyabeł w niedzielę: żupan złotem haftowany, u boku szabla, jak błyskawica, gdy koń stąpał, to.. szabla ta klejnotami błyska, na czapce aksamit błękitny, niby nieba kawał — możny był ten hospodar stary! Patrzał, patrzał, aż powiada do Raddy: Hej! pocałuj, worek pieniędzy dam. — Ta zaś odwróciła się odeń, i koniec.

— Wybacz, jeżelim obraził, spojrzyj choć łaskawiej! - odrazu spuścił z tonu wyniosły magnat stary i rzucił jej pod nogi worek pieniędzy, duży worek, bracie! A ona niby przypadkiem pchnęła go nogą w błoto i basta

— Och, dziewojo! - jęknął ten i batem ciął konia i tylko skłębione chmury kurzu widać było.

Nazajutrz znowu się zjawił.

— Kto jest jej ojcem? — niby piorun zagrzmiało w taborze. Wyszedł Daniło. — Sprzedaj córkę, dostaniesz, ile tylko zechcesz!

A Daniło mu na to:

— Tylko pany sprzedają wszystko, począwszy od świń, a kończąc na sumieniu; ja pod Koszutem wojowałem i niczem nie handluję!

Jak ci ten nie wrzaśnie, jak nie chwyci za szablę, ale któryś z nas wetknął żagiew płonącą do ucha koniowi, aż umknął razem z jeźdźcem. A myśmy tabor zebrali i ruszyli w drogę. Idziemy dzień jeden, idziemy drugi, patrzymy — dogonił nas!

— Hej, wy! — powiada — sumienie moje przed Bogiem i wami jest czyste, dajcie mi dziewkę za żonę; wszystkiem podzielę się z wami, jestem bardzo bogaty!

I pada cały i jak trawka na wietrze, tak się kołysze na siodle. Zamyśliliśmy się.

- A nuże, córko, gadaj! — bąknął Daniło pod nosem.

— Jakby orlica z własnej woli do gniazda kruka się wybrała, ta cóżby z niej było? — zapytała nas Radda.

Roześmiał się Daniło i my wszyscy także.

— Pysznie, córko! Słyszałeś panie? Nic z twojej sprawy! Poszukaj sobie gołąbek — te łatwiej ułaskawić!

I ruszyliśmy dalej.

Tedy ów hospodar wziął czapkę swą, cisnął ją o ziemię i pędem się puścił; tak pędził, że ziemia zadrżała.

Oto, jaka była Radda, sokole!

Tak! Siedzimy raz w nocy i słyszymy — muzyka jakaś płynie przez stepy. Piękna muzyka wabiła jakoś dziwnie, krew od niej w żyłach płonęła. Wszystkim nam, zda się, od muzyki tej zachciało się czegoś takiego, że już po tem i żyć by nie trzeba albo jeżeli żyć, to jako króle nad całym światem — taka to była pieśń, sokole!

Coraz się zbliżała. Z ciemności wynurzył się koń, a na tym koniu człowiek siedzi i gra i do nas podjeżdża. Stanął koło ogniska, przestał grać i z uśmiechem spogląda na nas. (Ciąg dalszy nastąpi).

Marya Grossek.

POGRZEB.

Kościół był cały w czarne obleczony kiry
Z białym haftem w piszczele na krzyż, w trupie [czaszki —
W aksamitnych ornatach w srebrne adamaszki
Kler śpiewał przy ołtarzu „requiem“ w dymach myrry.

W to czarne państwo Śmierci zajrzał dzień różany
Przez okna i z przelękiem cofnął zbladłe lice
Za płótna. — Wielkie tylko gorzały gromnice,
Las pni z wosku, rozkwitły w świateł tulipany.

Recitativa w dole, śpiew brzmiał w górnej strefie,
Z trybularzem co chwila klękały alumny —
Na stopniu wysokiego katafalku trumny
Klęczałam ja .. w żałobie grubej, w czarnym kwefie...

Komuż tak do snów wiecznych nuciły śpiewaki,
Złożywszy go do trumny, wieczności kołyski?
Nie wiedziałam! — Ktoś drogi mi, ktoś bardzo blizki,
Lecz nie mogłam przypomnieć sobie, kto to taki.

Nagle umilkły śpiewy..., i za tym sygnałem
Ujęli mię pod ręce i wiedli przez stopnie,
Zwężające się w górze. wysoko okropnie,
Każąc mi się pożegnać ostatni raz z ciałem.

O! ten pochód trwał wieki!. pot mi lał się z czoła,
Stanęłam wreszcie. wieka odchylili tracze,
Czułam, że straszniejszego nad śmierć coś zobaczę...
W trumnie zamordowany leżał trup Anioła!

Ten Anioł?!... To ja byłam w mego życia wiośnie,
Z piersią przebitą, z której przez otwór głęboki
Ze zranionego serca ciekły dwie posoki...
A usta były jeszcze złożone miłośnie.

Dwiema krwiami buchała wielka w piersiach szpara,
Zbryzgując katafalku płachtę aksamitną:
Krwią jak ogień czerwoną i drugą błękitną —
To z serca uchodziły tak: miłość i wiara.

Co dalej było... nie wiem już!... Po tym widoku —
Dotąd ten krzyk mam w uszach jakem wtedy krzykła,
Świat mi zatańczył w oczach, ziemia z pod stóp znikła —
I runęłam z łoskotem w jakąś otchłań mroku.

Z tego snu, czy zemdlenia, czy może obłędu?...
Gdym otwarła — nie pomnę. jak prędko - źrenice,
Nad miastem stało słońce, tłum szedł przez ulicę
I ja!... lecz już do ludzi nie wchodziłam rzędu.

Szłam cicha, uśmiechnięta, w krep czarnych odzieniu—
Tak w tłumie chodzą wdowy strąconych mocarzy.
Nikt nie śmiałby ustami tknąć mej zimnej twarzy,
Ni do poufnych biesiad zwać mnie po imieniu.

Byłam, jak gość wśród ludzi ważny a daleki:
Ktoś gestem mnie ukaże reszcie towarzyszy,
I chwytam wzrok współczucia... mówią do mnie ciszej.
Schylając skroń z wyrazem względów i opieki.

To majestat nieszczęścia tę cześć w sercach budzi,
Czasem zbyt wielkie nad kimś losu okrucieństwo.
Tym hołdem świat otacza tych, których męczeństwo
I ból nadludzki wyniósł ponad ogół ludzi.

Dr Karol Hertz.

Pogadanka naukowa.

Lokomocya elektryczna.

Na zasadzie długoletnich doświadczeń przekonano się, że kolej elektryczna jest koleją przyszłoś i Nie ulega już bowiem najmniejszej wątpliwości, że lokomocya elektryczna nie tylko będzie tańszą i wygodniejszą niż parowa, ale że za jej pomocą osiągniemy prędkość biegu, o której dawniej i marzyć nie można było. P mimo jednak widocznych korzyści z kolei elektrycznej, nowy sposób lokomocyi nie znajdzie tak prędko powszechnego zastosowania. Główną tego przyczyną są kolosalne kapitały, zaangażowane w kolejach parowych. Wprowadzenie elektryczności, jako siły poruszającej, pociągnie za sobą olbrzymie zmiany: zarówno w budowie samej linii kolejowej, jako też i materyału ruchomego, a co za tem idzie: stratę kolosalnych kapitałów. Zarządy kolei parowych agitują przeciwko kolejom elektrycznym, wychodząc z fałszywego założenia, że te ostatnie są droższe niż parowe i jako dowód przytaczają wyniki otrzymane na linii kolejowej Berlin—Wansee. Łatwo jednak widzieć, że warunki ekonomiczne, zachodzące przy eksploatacyi kolei o jednym pociągu w dwadzieścia cztery godzin, nie mogą być miarodajnemi dla kolei o licznych pociągach. Co więcej, przeciwnicy kolei elektrycznej zupełnie zapominają o fakcie, że w ostatnich czasach na polu przenoszenia, siły elektrycznej na znaczne przestrzenie otrzymano zadziwiające rezultaty. Główną zaś część wydatków przy budowie kolei elektrycznej stanowi sieć drutów, przeprowadzających prąd elektryczny, gdyż z powiększeniem się odległości od źródła siły, niepomiernie wzrasta grubość przewodników, a tem samem i koszta instalacyi. Najnowsze jednak wiadomości, otrzymane z pracowni Tesly w górach Skalistych, są tego rodzaju, że można się spodziewać zupełnego przewrotu na polu przenoszenia siły elektrycznej na znaczne przestrzenie. Wprawdzie twierdzenie Tesly, jakoby był w możności zbudowania prz - rządów elektrycznych, za pomocą których można będzie porozumiewać się z mieszkańcami Marsa, należy uważać jako fantazyę technika-poety, jednakże nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że znakomity badacz amerykański prawie w zupełności rozwiązał kwestyę przenoszenia siły elektrycznej na dowolne przestrzenie, bez użycia jakichkolwiekbądź przewodników. Z kuli umieszczonej w prądzie przemiennym otrzymuje on iskry grubości ramienia i długości 60 stóp Lampka elektryczna połączona z drutem leżącym na ziemi w odległości 25 metrów od kuli, zapala się pod wpływem fal elektrycznych. Rozumie się, że cały świat uczonych i techników, z nie cierpliwością oczekuje bliższych wiadomości o wynikach tych prac, trzymanych w tajemnicy. Tymczasem, dokonywają się w Niemczech próby w celu zbadania największej możliwej prędkości na kolejach elektrycznych. Firma Siemens i Halske, jako też Powszechne Towarzystwo Elektryczne w Berlinie, zupełnie niezależnie od siebie zbudowały maszyny, z któremi już przy końcu sierpnia robione będą próby na linii wojskowej Berlin-Zossen. Przypływ prądu elektrycznego odbywa się z góry i natężenie jego wynosić będzie od 10—12000 wolt. Doświadczenia te w wysokim stopniu zainteresowały cały świat ucywilizowany i ze wszech stron nadchodzą do Berlina prośby o dopuszczenie do tych prób delegatów najrozmaitszych krajów. Nie można z góry przesądzić, jakie będą wyniki tych prób. Spodziewają się, że prędkość 200 kilometrów, a nawet 250 na godzinę da się osiągnąć, jeżeli tylko można będzie szyny tak przymocować do plantu, aby nie było bocznych przesunięć. Wprawdzie niektórzy fachowcy są zdania, że taka prędkość jest niemożliwa, badania jednak teoretyczne i praktyczne wykazały, że cała rzecz sprowadza się do poszukiwań nad wytrzymałością wieńców kół wagonowych wobec nadzwyczajnej siły odśrodkowej. Otóż przekonano się, że granica wytrzymałości leży daleko po za tą prędkością. Prędkość pociągów kolei parowych wynosi obecnie około 80 kilometrów na godzinę i tylko we Francyi i Ameryce osiągnięto maximum prędkości: 120 kilometrów. Pociąg kuryerski kolei petersburskiej przy największej prędkości, potrzebuje 25 godzin na przejazd z Warszawy do Petersburga, pociąg elektryczny przestrzeń tę przebiegnie w ciągu 5 6 godzin.

Rozumie się samo przez się, że początkowo tylko wielkie miasta zostaną połączone ze sobą kolejami elektrycznemi, których kierunek będzie, o ile można, prostolinijny, bez żadnych przerw lub przejazdów. Droga takiej kolei, dla względów bezpieczeństwa, będzie musiała być zupełnie odosobnioną od innych dróg komunikacyjnych i dla tego też szyny tej kolei będą musiały być umieszczane nad, lub pod ziemią. Również i dzisiejsze sposoby sygnalizacyi będą musiały uledz znacznym zmianom. Małe miasta początkowo nie będą mogły korzystać z takich kolei; dla nich bowiem, sposób lokomocyi parowej, stopniowo tylko przekształconym zostanie w elektryczny. Jedyny sposób prędkiego połączenia małych miast, z główną linią kolei elektrycznych jest uzupełnienie sieci kolei lokalnych tak, aby z każdego punktu miasta można było w prędki i łatwy sposób dostać się na stacyę linii głównej. Łatwo zrozumieć, że koleje tego rodzaju znajdą tylko zastosowanie przy transportowaniu osób i poczt; przewóz towarów przez długie jeszcze lata odb wać się będzie na kolejach zwyczajnych w wagonach, poruszanych parą.

Z usunięciem lokomotywy parowej, ustanie też niebezpieczeństwo uduszenia się służby kolejowej, wskutek nagromadzenia się dymu w tunelach, co obecnie nie należy do zjawisk rzadkich. Pasażerowie nie będą, jak dotychczas, zmuszeni oddechać powietrzem nasyconem dymem, ruch wagonów będzie nader spokojnym, oświetlenie i ogrzewanie będzie elektryczne. Jednem słowem, bez powiększenia kosztów, podróżowanie w przyszłości będzie daleko wygodniejszem i prędszem.

Władysław Rabski.

Nadludzie bez maski.

(Dokończenie).

W kołach literatury i sztuki berlińskiej opowiadano sobie przeróżne dziwy o tej pozie artystycznej „Czarnego prosięcia“. Zdarzyło się np., że jednemu z najgłośniejszych kapłanów literackiej kapliczki umarła przyjaciółka, dobra, serdeczna dziewczyna, i to w sposób dość podejrzany, do którego wtrąciła się nawet policya śledcza. W kilka dni po jej zgonie obwieścił dekadent w gminie wyznawców swoich, że pragnąc usłyszeć „szelest śmierci“, skąpać się w mistycznej rozkoszy satanizmu i czuć trupie tchnienie własnej ofiary, spędził wraz z żoną swoją noc całą w mieszkaniu umarłej: „Co za noc, co za noc! — powtarzał. — Oszaleć można“. W dwa dni później jednak dowiedziano się o bliższych szczegółach tej „szatańskiej uczty“. Oto mieszkanie deka denta było od Bóg wie ilu miesięcy niezapłacone, gospodarz zarządził eksmisyę, więc biedak, nie mogąc znaleść na razie innego przytułku, upił się z rozpaczy za cudze pieniądze, a potem półprzytomny udał się z konieczności do pustego mieszkania zmarłej przyjaciółki i tam przenocował śpiąc twardo jak kamień. Tak wygląda bardzo często satanizm życiowy panów dekadentów. Tłum spogląda w osłupieniu na te dziwy, lecz wtajemniczeni mrużą jedno oko.

Wróćmy jednak do tego erotyzmu nadludzi, o którym panny warszawskie zaczytane w „De profundis“, „Homo sapiens“ i „Wigiliach“ szepcą sobie bajki cudowne na ucho. Wszystko to w życiu wygląda trochę inaczej, niż w książce. Prawdą jest to tylko, że nadczłowiek, uznający jedynie własną żądzę za prawo moralne, potargał wszystkie węzły etyki zwyczajowej. Wolność i swoboda nie mają tu żadnych granic. Jest to rodzaj kontredansa, gdzie ustawicznie brzmi komenda: *„Changes les dames“* i *„Changez les messieurs“*. Dawni apostołowie „wolnej miłości“ nie uznawali wprawdzie sakramentu, uznawali jednak wartość moralnych zobowiązań. Nadczłowiek odrzuca wszystkie hamulce Kaprys, namiętność, chwila rozstrzyga o wszystkiem. Dalej! *Changez les dames! Changez les messieurs!*

A jeżeli jedna strona kocha, a druga oczy odwraca? Tu kłamią księgi nadludzi, rozbrzmiewające piekielną muzyką zazdrości, nienawiści i rozpaczliwej melancholji. To tylko w poezyi dekadentów trzepocą ustawicznie czarne motyle na szpilkach. W życiu uczucie modernistów jest histeryczne, miękkie i połamane, jak kwiat storczyka, lotne i bez skupienia, a najczęściej skąpane w absyncie, upadającym tylko na dni i godziny. Siły tragicznej tam nie ma. Dramat miłosny kończy się zazwyczaj w tych kołach literackiem wyzyskaniem tematu, ktoś do kogoś strzeli pamfletem, w romansie, ktoś napisze jakieś *„fuoco“* lub *„inferno“* i nazajutrz ci sami ludzie szukają nowej „barwy“ i nowej „emocyi“. Nadludzie radzą sobie doskonale z życiem i miłością, które tylko w najrzadszych przypadkach bywają tak żałobne, jak ich literatura.

Dramat rozpoczyna się dopiero wtedy, gdy los zbłąkanego wędrowca zaprowadzi w ten kraj tajemniczy i rzuci go na pastwę nieznanych ludzi, nieznanych stosunków. Przyleci młody sokół z Kaukazu, prosty w uczuciach, żywiołowy w kochaniu, spoglądający na kobietę według starych zasad — i wtedy w orgii dekadenckiej grzmią nagle dwa strzały: on ginie i ona.

Za powagą życia idzie powaga śmierci. Nadczłowiek kocha się bez dramatu, a człowiek pada ofiarą. Nadczłowiek byłby romans napisał, człowiek sięgnął po rewolwer. To takie proste, stare, gospodarskie, to nawet kupczyk zakochany w pannie sklepowej potrafi, a tamci z „Czarnego prosięcia" tworzą nowe życie i wstydzą się „pospolitości". Trzeba było przejść na ich wiarę, lub nie wchodzić do ich kościoła, trzeba było napisać głęboki romans rozstania, pełen szalonych halucynacyi i wściekłych szamotań, tak, trzeba było.... Jest straszna ironia w tem słowie!

Na dalekim Kaukazie płacze wicher halny na grobie „człowieka". A tymczasem nadludzie szukają nowych emocyi i tworzą dalej katechizm bezwzględnego indywidualizmu w orgiach alkoholu. Rozkosz jest pojęciem, które z złem i dobrem nie ma nic wspólnego — *jenseits von Gut und Böse*. Z jakich źródeł czerpie się czar upojeń i rozkosznych szaleństw, do tego żadna etyka wtrącać się nie powinna. Kto znalazł nowe źródło, ten jest o jedną senzacyę bogatszy i na tem kończy się wszystko. A że tam tłum, że tam ci, o których się mówi, że jest ich „wiele za wiele", że demokratyczny „czandala" śni o jakiemś życiu społecznem, ujętem w karby etyki i prawa, cóż to obchodzi ten legion młodych tytaniątek, który doktrynę mistrza swojego o prawach nadczłowieka-olbrzyma przetłómaczył na ewangelię rozpasania i najbrutalniejszego egoizmu. I nic więcej. To zwykle ich jedyny dokument „nadczłowieczeństwa", bo tam embryonalna, fragmentaryczna i pijana sztuka, którą uszczęśliwili Europę, nie daje im chyba patentu na olbrzymów ducha, na „Uebermenscha" lub „Adelsmenscha" według miary Ibsena i Nietschego. Powiedział prorok, że tłum po to jedynie istnieje, aby od czasu do czasu z łona swego rodzić nadludzi-geniuszów i być powolnem narzędziem ich woli i żądzy, a słowa te stały się źródłem tych rozdętych do potwornych rozmiarów pojęć o prawach indywidualizmu i prawach geniuszu, które są charakterystycznem znamieniem modernistów współczesnych. Wszystkie inne objawy etyczne i artystyczne z tej właśnie zasady biorą swój początek. Sztuka staje się szkicową, bo mistrzowi się zdaje, że gdyby dzieło jego przeszło wszystkie normalne okresy rozwoju, to zatarłoby się tam piętno osobistości, bezpośredniego indywidualizmu. Dawniej własne „ja" przetapiało się i harmonizowało w pracy artystycznej, dzisiaj podaje się jako sztukę, pierwszą surową reakcyę tego „ja" na podniety świata zewnętrznego. Taka jest twórczość, a jakie jest życie? „Ja jestem ja", powiedział w swych prawach nadczłowieka Zarathustra, a rezultatów szukajcie w etyce geniuszów z pod „Czarnego prosięcia".

M.

Nasze nakładnictwo

(w zestawieniu z niemieckiem).

Bardzo mało zastanawiamy się niestety nad jedną kwestyą, bardzo ważną i żywotną — kwestyą rozprzestrzeniania płodów umysłowych naszych pisarzy.

Powiadam: niestety, bo nieobliczalną jest strata, jaką literatura nasza ponosi wskutek bagatelizowania niektórych spraw, na pozór mało znacznych i nikłych, ale w swych skutkach doniosłych.

Pod tym względem wyprzedzili nas cudzoziemcy o całe niebo.

Proszę wziąć np. pod uwagę nasze nakładnictwo. Przerażające zacofanie — pustki — stagnacya — — — Książka mniej znanego pisarza, na której nie widnieje zwykła klauzula: „nakładem autora" — to rara avis.

A jak nakładnictwo jest unormowanem i rozwiniętem w Niemczech!

Obywatel np. bobrecki nie ma wyobrażenia o nowościach, wyszłych w księgarniach lwowskich. Bo i skąd? Tygodników naukowo-literackich prawie nie ma, a temi, które są, delektuje się redaktor, współpracownicy i mała garstka wyjątkowych indywiduów, cóż więc dziwnego, że jeno wystawy księgarniane zaznajamiają publiczność czytającą z nowemi wydawnictwami.

W Niemczech inaczej. Tam np. „Zarnke's-Literarischer-Katalog" obiega w pewnych odstępach czasu wszystkich, którzy się zajmują jakąkolwiek gałęzią nauki lub sztuki. Podany jest tytuł i miejsce wydawnicze wszystkich dzieł, wszystkich broszur i publikacyi, które tylko opuściły prasę drukarską. Ba nawet rzeczy pod drukiem, prace, których korektę dopiero się prowadzi — wszystko ma swoje miejsce w tym katalogu.

Co za satysfakcya dla czytelnika, czy to zajmującego się specyalnie jaką nauką, czy to kupującego książki dla rozrywki, jeżeli minimalnym nakładem czasu i kosztów może się dowiedzieć o wszystkich wydawnictwach, interesujących go bliżej, miasto myszkować wśród powodzi najrozmaitszych nowości, jakie zalewają jarmark księgarski.

To pierwszy a nieodzowny warunek regulacyi naszego wydawnictwa. Kto podejmie się żmudnej co prawda, ale wdzięcznej i popłacającej pracy wydawnictwa peryodycznego katalogu literackiego polskiego — może być pewnym uznania i poparcia, a krajowemu piśmiennictwu przysłuży się olbrzymio.

Ale nacóż nam katalogów ze spisami nakładców, kiedy prawie nie mamy nakładców.

Nasz nakładca wydaje dziś romans, jutro traktat historyczny, pojutrze kalendarz i zbiór poezyi, i t. d. Przeciwnie wielkomiejska firma wydawnicza zagraniczna, musi się niejako specyalizować, bądź to przez odpowiedni dobór dzieł wydawanych, bądźto przez to, że wielcy pisarze jedynie przez nią publikują swe twory umysłowe.

I tak n. p. „Deutsche Verlagsanstalt" puszcza w świat jedynie dzieła beletrystyczne, Connegen w Drezdnie jedynie prace dla młodzieży, Manz w Wiedniu jedynie fachowe dzieła juryczne, księgarnie uniwersyteckie — zakład, jaki utrzymuje każdy uniwersytet niemiecki — popierają prace swoich tylko profesorów, Pierson w Dresnie dzierży monopol powieści baronowej Suttner, Fischer w Berlinie wydaje powieści i nowele młodo-niemieckich modernistów.

Niepodobna objąć pamięcią całej plejady tych specyalistów-księgarzy.

Zasługa takiego podziału pracy wydawniczej polega na tem, że publiczność od razu wie, do kogo się zwrócić po książkę pewnego pisarza, a ci na odwrót mogą być pewni, że nakładcę znajdą na jakąkolwiek pracę. Bo w Niemczech nie trzeba być wcale sławnym i poczytnym, aby wydawać książki nie własnym nakładem. I mierny, zupełnie nieznany pisarz znajdzie wydawcę, jeżeli zobowiązuje się wydawać swe prace u tegoż nakładcy i wówczas, kiedy będzie znakomitością i będzie zasypywany ofertami innych księgarzy. Nie znaczy to bynajmniej, aby młody adept piśmiennictwa stawał się machiną pisarską, mechanicznie fabrykującą, boć nikt go do pracy na dany termin nie zmusza, ale jeśli co napisze — musi wydać u swego nakładcy.

U nas z tego wszystkiego ani śladu... Nasz księgarz-nakładca sprzedaje równocześnie kalendarze i wydaje rozprawy filozoficzne. Jedno i drugie naturalnie po dyletancku.

Wreszcie brak naszemu nakładnictwu nieodzownie potrzebnej, wewnętrznej organizacyi.

Nie dość, że mamy nakładców nie wiele, ale każdy z nich jest zupełnie samodzielnym i odosobnionym.

Tego u Niemców nie ma. Wszystkie firmy nakładnicze tworzą tam sieć, szeroko rozgałęzioną i rozprzestrzenioną, której centrem jest *związek nakładniczy*, niby kartel, którego celem jest utrzymanie jedności i kontrolowanie działalności każdego członka.

Żaden niemiecki księgarz nie dopuści się wyzyskania pisarza zdanego zupełnie na łaskę i niełaskę swego nakładcy, bo naraziłby się tem związkowi, zostałby zeń wydalonym, a to pociągnęłoby zerwanie stosunków przez wszystkich członków związku i — bankructwo.

Naodwrót nakładca śmieje się z dąsów i nieusprawiedliwionych roszczeń pisarza. Ma na to wyborny środek: podaje takiego pana do wiadomości związku, a wówczas długo musiałby autor szukać nakładcy, zanimby go znalazł.

Uwagi powyższe zawierają najogólniejszy jeno zarys urządzeń, jakie sobie wytworzył zagraniczny handel księgarsko-nakładniczy.

Jak wobec tego rozkwitu maleje nasz krajowy!

Wartoby nad tą sprawą bliżej się zastanowić.

Rocznica w historyi fotografii.

W d. 10-ym b. m. minęło lat 50 od śmierci Daguerre'a wynalazcy nazwanej po nim dagerotypii, od której rozpoczyna się historya fotografii. Już w roku 1727 pewien lekarz niemiecki, dr. J. H. Schulze w Halli nad Saalą, odkrył wrażliwość soli srebrnych na światło i zastosował je do kopiowania pisma przy pomocy światła słonecznego, ale te kopie, jak również obrazy świetlne, wykonywane przy zastosowaniu wynalazku Schulz'ego przez przyrodników angielskich Wedgewoo'da i Davy'ego, nie były trwałe. Utrwalenie obrazów, jakie wytwarza światło w ognisku ciemni (*camera obscura*) udało się najpierw przyrodnikowi francuskiemu, Józefowi Niceforowi Niépce'owi z Chalons. System jego był jednak zbyt kłopotliwy, a obrazy same za mało udoskonalone, tak, że nie nadawały się do zastosowania praktycznego. Jednocześnie Ludwik Daguerre zajmował się też odpowiedniemi próbami i udało mu się otrzymać obrazy trwałe. W r. 1829 zawiązał stosunki z Niépce'm, aby pracować wspólnie. Niépce nie doczekał się już żadnych dalszych rezultatów swego odkrycia, zmarł bowiem w r. 1833. Daguerre prowadził dalej próby z płytami srebrnemi i jodem, a pomyślny przypadek doprowadził go do odnalezienia rzeczy najważniejszej: do rozwinięcia obrazu. przy pomocy pary rtęci. W roku 1839 przedstawił Daguerre francuskiej Akademii nauk obrazy trwałe i za sprawą trzech słynnych przyrodników, Aragi, Biot'a i Aleksandra Humboldt'a rząd francuski nabył wynalazek Daguerre'a za pensyę dożywotnią 6.000 fr., 4.000 fr. zaś płacono synowi Niépce'a W d. 19 sierpnia r. 1839, na publicznem posiedzeniu akademii oznajmiono światu zdumiewającą tajemnicę nowej sztuki i odtąd zaczął szybki pochód zwycięski fotografii, a rok nie mija, żeby na tem nie dokonano nowych udoskonaleń i nie wytworzono nowego pola zastosowania doniosłego wynalazku. Morse, malarz w Nowym-Jorku, który następnie zasłynął jako wynalazca nazwanego od jego imienia aparatu telegraficznego, wykonał pierwsze fotografie na szkle; zyskały one wszakże doniosłą wartość dopiero wtedy, gdy Talbot, bogaty Anglik, zdołał z takiej fotografii otrzymać kopie na papierze w liczbie nieograniczonej; do ostatecznego rozpowszechnienia fotografii przyczynił się wszakże Disderi w Paryżu, fotograf nadworny cesarza Napoleona, wynalazłszy format wizytowy. Wiadomem jest dobrze, jaką nieocenioną wartość zyskała w ostatnich czasach sztuka fotograficzna dla nauki, a od chwili wynalezienia fotografii migawkowej otrzymujemy obrazy takich nawet zjawisk i zajść w życiu, które oko, z powodu ich szybkości zaledwie może pochwycić.

Przeszłość w teraźniejszości.

(IGNACY RADLIŃSKI. Przeszłość w teraźniejszości. Zbiór dociekań i rozważań społeczno-naukowych).

P. Ignacy Radliński zajmuje wyjątkowe stanowisko w naszej nauce jako badacz źródłowy języka asyryjskiego, ceniony przez takich znawców Wschodu jakim był znakomity Renan, a także nasz Aleksander Chodźko. Wydany przez niego obecnie zbiór artykułów, drukowanych uprzednio w pismach perjodycznych (przeważnie we „Wszechświecie") pod tytułem ogólnym: „Przeszłość w teraźniejszości", jest bardzo porządanem zjawiskiem w literaturze naszej popularno-naukowej. Czytelnik znajduje tu nadzwyczaj bogaty zasób wiedzy z dziedziny archeologji przedhistorycznej, etnologji, etnografji, antropo-geografji, czerpanej z nowych prac źródłowych obcych uczonych, krytycznie i wyczerpująco opracowanych przez polskiego autora. Najnowsze wyniki wiedzy, prawdy świeżo zdobyte, zestawia p. Radliński z hypotezami piętrzącemi się na drodze badaczów, z ułudami i omamieniami, stanowiącemi po kolei istotę wierzeń i wiedzy.

Książka p. R. daje gruntowne pojęcie o tem olbrzymiem rozszerzeniu czasu i przestrzeni historyi powszechnej, które się dokonało w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, a które pozwoliło je objąć cały rodzaj ludzki. Przesuwają się tu przed nami obrazy ze stref i wieków rozmaitych, obrazy walki z przyrodą i ludźmi, ogromna skala przejawów inteligencyi i siły ludzkiej. Najdoleglejsza przeszłość z jednej strony, z drugiej zaś—teraźniejszość świeżo odkrywana przez podróżników i zdobywców europejskich, stykających się z ludami i kulturami pierwotnemi. Teraźniejszość ta, rzucająca olbrzymie światło na zagadki przedhistoryczne, jest tem ciekawsza, że modyfikuje się nadzwyczaj szybko pod wpływem nowej cywilizacyi i tembardziej potrzebuje naukowego utrwalenia, że ludy, dziś jeszcze stojące na strzeblach pierwotnych, wymierają nieuchronnie i masowo po zetknięciu się ich z europejczykami. Mnóstwo interesujących przykładów takiego wymierania znajdujemy w pracy p. Radlińskiego, ale najcharakterystyczniejszym i prawdziwie tragicznym jest, raczej był los tasmańczyków, wymarłych całkowicie w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, kiedy lud ten spokojny znalazł się nagle w sąsiedztwie bezpośredniem kolonji zbrodniarzy, deportowanych z Europy. Z drugiej strony jednak zauważyć się dają od niedawna coraz częstsze usiłowania ochrony rozmaitych ludów od grożącej im zagłady. Zupełne przeciwieństwo z losem nieszczęśliwych tasmańczyków stanowi np. los andamanów, zamieszkałych na wyspach w zatoce Bengalskiej, a należących do Anglji. Zarówno urzędnicy angielscy, jakoteż i filantropi prywatni troszczą się energicznie o utrzymanie przy życiu pierwotnej tej rasy, pomimo to jednak proces zanikania jej, acz znacznie powolniejszy, idzie swoją koleją. Tak samo daje się on zauważyć nawet w tych plemionach, które zdołały dążyć do samorządu społecznego i politycznego, zapożyczonego od europejczyków, jak np. Maorowie w Nowej Zelandyi, albo obywatele niezależnych państw Hawai i Taiti.

Z wielkiem zajęciem poznaje czytelnik oryginalnych mieszkańców indyjskich gór Nilghiri, wspaniałych „todów", ubótwiających swoje bawoły, i drżących przed niemi złośliwych karłów „kurumbów", tembardziej, że dzięki p. Radlińskiemu może zestawić bezstronne badania fakcyjne szczepów z rozgłośnemi mistyfikacyami słynnej „teozofki" Bławatskiej i jej adherentów.

W głęboko obmyślannym rozdziale ostatnim śledzi autor los pojęć etnologicznych Hipokratesa w biegu wieków, pojęć zapoznawanych odrzucanych przez rozmaite prądy, zapomnianych nawet wśród rozmaitych, później powstałych doktryn, a jednak analogicznych z najnowszemi dążeniami i zasadami naukowemi. *R. B.*

Nowe książki.

Marya Konopnicka. **Italia.** Najnowszy to zbiór utworów oryginalnych znakomitej poetki. Obejmuje on przepiękny cykl „Italia", powstały pod tchnieniem nieba włoskiego, pod wrażeniem przyrody boskiej, pod wpływem piękna, przejawiającego się w dziełach sztuki, tak licznie w Rzymie i Florencyi zgromadzonych

Świetny koloryt, niezrównane bogactwo barw, słowo, brzmiące, jak metal, a nadewszystko szlachetna rytmika wiersza, który, czy to w jambie klasycznym i trocheju, czy w innych miarach, które Konopnicka ma na zawołanie i które muzykalne jej ucho chwyta bez trudu, dźwięczy pełnym, doskonałym dźwiękiem prawdziwej „mowy bogów".

Książkę rozpoczynają „Sonety włoskie", skończone pod względem formy, a głębokie myślą. Dalej idzie przepyszny cykl „Po drodze", obejmujący utwory: „Nad Ticino", „W Zatoce Baji" (villa Cycerona) „Na Carrignano rankiem", „Nocturny rzymskie" itd. Pod wrażeniem fryzu pompejańskiego powstały przepyszne „Prace Amora". Z Kapitolu rzymskiego mamy Fauna tańczącego, z muzeum w Neapolu — Fauna pijanego, z willi Barberini w Rzymie — Fauna śpiącego. Florenckie wspomnienia autorki utrwaliły się w szeregu pięknych, owianych rzewnym nastrojem strof, nad któremi unosi się czysta dusza lirnika mazowieckiego (Lenartowicza). Do cyklu „Madonna" motywów dostyrczyli poetce: Cimabue, Giotto, Vivarini, Corregio, Rafael, Luini, Ignotus (Virgo Nera) i Botticelli Najpotężniejsze wrażenia wstrząsnęły jednak p. Konopnicką w Sykstynie. „Sybilla pisze", „Stworzenie człowieka", „Sąd", „Miserere", które się z wrażeń tych poczęły, należą do na silniejszych i najpiękniejszych utworów, jakie poezya współczesna wydała.

Zbiorek kończy się szeregiem przepysznych sonetów, z których ostatni — „Mare morto" zamyka książkę poważnym acz smutnym nastrojem: „Może też gasi wszystko, co płonie, co żyje. Ciszy chcę! Do wiecznego tęskno mi spocznienia. W ogrom twego żywiołu, w roztocze te mgliste oddaję ducha, bracie rybołowów, Chryste, a ty się rozlej za mną, morze zapomnienia".

* * *

W. James. **Czy warto żyć?** Z angielskiego przełożył W. Kosiakiewicz.

Jest to pierwszy tomik wydawnictwa „Przeglądu filozoficznego", p. t. „Filozofia praktyczna". Wobec tego, nie dziw, że pierwsza kwestya, którą poddano dyskusyi, brzmi: Czy warto żyć? Amerykański autor stanowczo jest zdania, że warto, tylko trzeba mieć wiarę w życie i w dogmaty kościoła (o ile możności — anglikańskiego): „Nie lękajcie się życia" — powiada w zakończeniu swej rozprawy. — Wierzcie, że warto jest żyć, a wiara wasza dopomoże realizacyi tego faktu. Dowód naukowy, że macie racyę (wy, optymiści, a nie oni, pesymiści), przyjść może dopiero w dniu... sądu ostatecznego. Ale odważni wojownicy mogą zwrócić się do ludzi stałego serca, którzy odmówili pójść z nimi, słowami, któremi Henryk IV-ty powitał spóźniającego się Crillona po wielkiem zwycięstwie: „Powieś się, dzielny Crillonie! Myśmy bili się pod Arques, a ciebie tam nie było".

* * *

E. Mach. **Die Analyse der Empfindungen und das Verhältniss des Physischen zum Psychischen.** Mit 36 Alb. 2 verm. Aufl. der Beiträge zur Analyse der Empfindungen.

Autor wychodzi z założenia, że z naukowego punktu widzenia w sferach fizycznych i psychologicznych zjawisk mamy do czynienia nie z różnicą materyału, lecz z różnicą metod badania. Dowodzi on sztuczności zasady dualizmu, jako ciemniającej zrozumienie objawów natury, rozwija swoje poglądy na stosunek wzajemny fizyki i biologii, idei przyczynowości i celowości, poczem przechodzi do właściwej treści swojego dzieła, t. j. do analizy wrażeń umysłowych, wyjaśnia wzrokowe poczucie przestrzeni, słuchowe poczucie wysokości tonów i jakości ich i t p., wyprowadza wnioski, dotyczące kształtowania się pojęć o czasie, powstawania woli, pamięci, zdolności asocyacyjnej itd., wszędzie zdradzając niepospolity i subtelny dar obserwacyi oraz siłę oryginalnej myśli.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

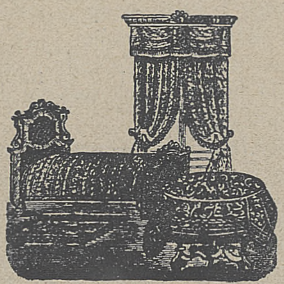
4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 27—52

Kantor wymiany
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego
Banku hipotecznego.

TUTKI
ze specyalnej bibułki „ABADIE"
„PRIMUS"
są powszechnie uznane za najlepsze!
Wszędzie do nabycia.
FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2
34—52

Gotówka nie wymagana.
Ulgi w spłatach wedle umowy.
Cenniki na prowincyę na żadanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma
Wiedeński magazyn i skład dywanów
„AU LOUVRE"
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)
Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.
Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.
31—44

Główny skład rowerów angielskich
aparatów fotograficznych
i wszelkich przyborów.

Moim Szanownym P. T. odbiorcom udzielam wszelkie reperacye bicyklów **bezpłatnie**, zaliczam tylko dodany materyał. — Wypożycza się rowery.

Systematyczna szkoła jazdy na rowerze.

Dziękuję za dotychczasowe względy.

Z szacunkiem
Herman Gottlieb
Przemyśl, ul. Franciszkańska (pod wieżą).

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO
dla handlu i przemysłu
ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro
(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskuteczenia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 26—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

HOTEL POLSKI
w KRAKOWIE
przy ulicy Floryańskiej

poleca Szan. Publiczności pokoje, wzorowo i elegancko z komfortem urządzone.

Ceny niskie i dla każdego przyjeżdżającego bardzo przystępne.

Zarząd postarał się o wszelkie wygody, by każdy gość był zadowolony, za które poręcza się.

Z poważaniem
Zarząd Hotelu Polskiego
w KRAKOWIE.

1—24

Pierwsze składy
obuwia karlsbadzkiego
Adolfa Lonkera
ulica Hetmańska l. 16. (Bank zaliczkowy)
LWÓW
ulica Karola Ludwika l. 21. (Hotel Bristol).

Obuwie tylko ręcznej roboty dla pań, panów i dzieci. — Najnowsze oraz najgustowniejsze fasony i olbrzymie zapasy. Najwykwintniejsze wykończenie i staranna trwała robota. Ceny najniższe, fabryczne, wyciśnięte wraz z marką ochronną na podeszwie każdej pary. 5—6

Ferdynand Güttler
Magazyn towarów modnych
Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

36—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY
SOKAL i LILIEN
we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 37—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Nowo przeniesiony magazyn
na plac Maryacki l. 10.
dawniej
Jakubowski & Jarra
obecnie
M. JAKUBOWSKI
poleca
swe wyroby ze srebra chińskiego i przybory kościelne. 9—12

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.
Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.